# „KU RADOŚCI ŻYCIA"



N.3

MARIAN HEMAR

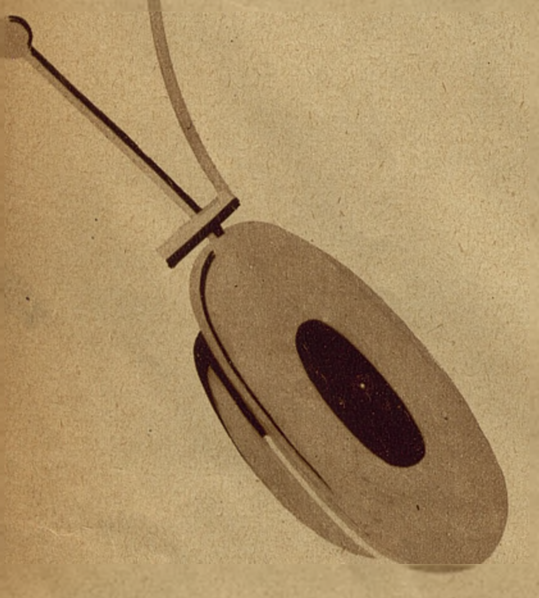
# Piosenka o ZRADIOFONIZOWANEJ BABCI

(Można śpiewać na nutę: „Miała babuleńka koziołka swojego")

*Miała babuleńka własny detefonek.*
*Słuchała audycji cały Boży dzionek.*
*Hallo! Hallo!*
*Polskie Radio — Warszawa —*
*Kraków — Katowice — Wilno!*
*A tu skrzynka rolnicza,*
*A tu chwilka dla dzieci,*
*Pogadanka, sygnał czasu,*
*A tu rykowisko z lasu,*
*A tu hejnał z Gdyni,*
*Potem Mussolini,*
*Potem płyty,*
*Odczyty,*
*Stromenger,*
*Polak — Węgier,*
*Sygietyński,*
*Seredyński,*
*Inżynier Tarkowski,*
*Profesor Rutkowski,*
*Fik-mik! Fik-mik!*
*Cała Polska śpiewa!*
*Potem chwilka dla pieska,*
*Potem Rayska-Kuszelewska,*
*Potem skecz,*
*Potem mecz,*
*A po meczu Fitelberger —*
*Pitu pitu, szmyndyryndy,*
*Ciara ciach ciach,*
*Hu ha!*
*Babunia słucha —*
*Aż powiedzą, żeby sobie*
*Uziemiła w antenę,*
*„Jeszcze Polska" zaczną grać —*
*Wtedy babcia idzie spać.*

*Słucha babuleńka, aż jej puchnie głowa.*
*Tyle rzeczy słucha—nie rozumie słowa.*
*Fik mik! fik mik,*
*Hopsztynder, Sygietyński,*
*Łubin,*
*Osiemnaście siedem,*
*Tu Strawiński z Górzyńskim,*
*A tu Hebda z Tłoczyńskim,*
*Zasłona, Napierała,*
*Kiełbasa, Spychała,*
*Kłębiasty, porywisty,*
*Już na Litwę chodzą listy,*
*Potem mówią do chorych,*
*Że na morzu król Batory,*
*Potem wielka przemowa,*
*Potem fala ze Lwowa,*
*Potem nagle: płyta.*
*Potem ktoś czyta.*
*Tyndyryndy, baju baju,*
*Słuchaj, babciu, będziesz w raju,*
*Ciara ciach ciach, terebere,*
*Pstryk pstrak, kluski z serem,*
*Potem wrzeszczy,*
*Potem trzeszczy,*
*Potem świśnie,*
*Potem piśnie,*
*Hu - ha!*
*Babula słucha...*
*Słowo w słowo, po słowie,*
*Aż się wszystko kręci w głowie,*
*„Jeszcze Polska" zaczną grać —*
*Wtedy babcia idzie spać.*

*Doloż moja, dolo, danaż moja, dana!*
*Teraz babcia siedzi u Bożego Jana *)*
*Fik mik! Fik mik,*
*Hopsztynder, przez to radio*
*W głowie,*
*Zupełny pik-nik!*
*Barabinki — wszystkie skrzynki,*
*Barabasza — jedna kasza,*
*Płyta,*
*Z kopyta,*
*Sygietyński, Tłoczyński,*
*Seredyński, Górzyński,*
*Tego trochę, tego źdźiebko,*
*Który Tońko, który Szczepko?*
*A tu Frenkiel,*
*A tu węgiel,*
*A tu Węgier,*
*Tu Stromenger,*
*Tu obrona*
*Platona,*
*A tu Wawa,*
*A tu brawa,*
*Tutaj Terne, a tam Turnau,*
*Biedna babcia całkiem durna.*
*Hu - ha!*
*Głucha!*
*Ledwie się rucha!*
*Tylko leży na kanapie,*
*Nic nie robi, fale łapie,*
*Kręci wprzód — łapie mecz,*
*Kręci wstecz — łapie skecz,*
*Wszystkim krzyczy:*
*Wszyscy łapcie!*
*Proszę zwrócić mi za babcię!*
*Z tego radia takie zło,*
*Że mi babcię zepsu—*
*Ło!!*






*) Szpital dla umysłowo chorych w Warszawie.




W parterowej sali wspaniałego gmachu Muzeum Narodowego przed stylową karocą królewską stoją dwaj panowie. Jeden szpakowaty, a drugi łysawy, ale obaj odświętnie ubrani.

Patrzą chwilę w milczeniu na okazały eksponat, poczem szpakowaty mówi do łysawego:

— Owszem; nie można powiedzieć, dorożka, jak dorożka, obleci, ale kudy jej do taksówki Zygmonta Szparagi ze Szmulowizny. Osiem osób letko włazi i nawet się rysory nie obsiądom. A tu co? Cztery najwyżej można załadować i to z bidą.

— Faktycznie, ale król swoją karetą publiki nie woził to mu większa nie była potrzebna.

— Co prawda, to prawda, ale o wieleby chciał córkie, czyli tyż syna żenić, toby już tą karetą było nieporęcznie.

A Zygmont Szparaga, jak siostrę za mąż wydawał, młodych i cały orszak za jednem razem zabrał. A było tam samych drużbów sześciu i to wszystko chłop w chłopa najmarniej po 100 kiło. Wiadomo — rzeźniki.

— W tryniga zajechali do kościoła św. Floriana i nazad na Szmulki, tak że stara Szparagowa chleba i soli nie zdążyła przygotować na przywitanie młodych.

— O mały figiel byłby ją zięć wtedy solniczką nie zabił, że bez błogosławieństwa rodzicielskiego małżeńskie życie zaczynać musieli.

— A tem, nie wiem czy by do rogu Ząbkowskiej dojechali. Pasy by pękli i państwo młode razem z całem orszakiem w pudle, lu siedzeniem o bruk. Porównania nie wytrzymuje!

— Panie Gałązka, zwracam pańską uwagie, że ten król podobnież w kawalerskim stanie żył i w taki sposób nie mógł syna, ani córki za mąż wydawać. Więc pytam się po jaką cholerę, była mu większa kareta?

— A po drugie nie wyrażaj się pan o historycznej pamiątce — pudło, bo po głowie możesz pan za to dostać i kto wie, czy przed sąd nie stanąć za obrazę władzy.

— A, o wiele król był kawaler, to faktycznie cofam to słowo. Ale w każdem bądź razie Zygmont Szparaga górą!

W ogóle komunikacja była wtedy nie tęga, no bo spojrzyj pan na te sanki.

Budka telefoniczna, jak pragnę Bożego Narodzenia doczekać.

Miałbyś pan odwagie na miasto tem wyjechać, przecież wszystkie psy by za panem szczekali, a znajome drakie by z pana zrobili, żebyś się pan nigdzie w towarzystwie pokazać nie mógł.

— Nima o czem mówić, dzisiej jest inaczej, kultura swoje robi.

Człowiek w każdem zapotrzebowaniu swoje zastosowanie posiada. Jak się komuś śpieszy — tylko taksówka. A znowuż dla przewiezienia do komisariatu ankoholika — tylko dorożka konna. Bo nie każden pijak jednakowy charakter ma. Jeden jadzie spokojnie i tylko płacze rzewnemy łzamy ze żalu nad swojem losem marnem i wszechświatową wojną, która podobnież jest nieunikniona.

Za to drugi honorowy jest i kozaka pokazuje. Ma życzenie żeby cała ulica widziała, że go policja do mamra wiezie.

Taki ma się rozumieć przemowę swoją ma, albo najmodniejsze piosenki zaiwania.

Taksówką go przewozić nie można, bo by szyby powybijał, siebie i władze nadzorczą pokaleczył, takżesamo z powodu zamkniętej przestrzeni, powietrza mógłby mieć za mało i urządzenie zanieczyścić.

Tak jest, dla jednego taksówka się nadaje, a dla drugiego dorożka.

Zygmont Szparaga nigdy pijanych nie wozi.

— Co mnie pan stale i wciąż tą Szparagą męczysz. Taki znowuż ważny szoferak on jest? Najlepszy w Warszawie wóz posiada?

— A jakbyś pan wiedział.

— A ja panu mówię, że nie. Takiego urządzenia, jak mój szwagier napewno nima. I dlatego szwagier żadnego pasażera się nie boi.

Pijany, nie pijany wszystkich zabiera. — Instalacje takie wmontował, że każden, jak aniołek siedzi i zadowolony jest taki, że chociaż na miejsce zajadzie, ze łzamy w oczach szwagra prosi, żeby go dalej jeszcze wiózł.

— Cóż to za urządzenie takie jest?

— A widzisz pan w kozi róg zapędziłem swojem szwagrowskiem pańskiego Szparagie.

— No dobrze, ale detalicznie co wmontował?

— Zaraz się pan dowisz. Weźmy dajmy na to, że zagazowany oliwa wsiadł do wozu, zaczyna rozrabiać, awanturę toczy, za szyby się bierze.

Szwagier go nie wyrzuca, nawet palca na niego nie skrzywi, tylko z miejsca Wiedeń łapie.

— Co proszę?

— No, wiedeńskie fale przykaranla, a tam zawsze, jak nie walczyk to insza jakaś kołysanka. Ankoholik baranieje, a potem łeb mu się zaczyna kiwać, i w dwie minuty kima, jak małoletni pętak przy piersi.

— Aaaaa! Takiem prawem pański szwagier radio w taksówce posiada!

— No myślę, że nie organki. Radiem zawsze spokój u siebie w wozie zaprowadzi. Jak starozakonnych pasażerów wiezie z handlowego fachu i zaczną się między sobą kłócić, tak że jeden drugiemu do słowa dojść nie da, szwagier Berlin nastawia i z miejsca cicho się robi, jak makiem zasiał.

Zakochanemu znowuż Warszawę II podpuszcza, tam zawsze jakieś tango czyli tyż insza miłosna muzyka się zacznie.

Kiedy znowuż szwagrowi pasażer muzykant się trafi, a takiego po długich włosach i skrzypcach pod pachą poznać łatwo, opery się po całem świecie szuka, jak się złapie, muzykant dotąd z wózka nie wysiądzie, aż się cała audycja skończy.

Czasem szwagier przykrość ma z tego. Jednego razu przejeżdża sobie przez Nowy Świat, a tu posterunkowy go haczy, i oskarża, że tem słowem na niego wołał, co to niem zdon piece wykleja.

Szwagier oczy na niego postawił i się nie przyznaje, bo ma takie wychowanie, że policje szanuje.

Byłby pomimo to w komisariacie mieszkał, żeby się w końcu nie wydało, że to z radionu co i raz ktoś „glina" wołał. Właśnie tak zwana „godzina rolnika" się tam odstawiała i jakiś prefesor chłopów uczył, jak na gliniastym groncie rzodkiewki hodować.

Przykrość przykrością, ale dochód i zaszczyt szwagier ma. To pytam się kto cwańszy szoferak, pański Szparaga, czy mojej żony brat?

— Szwagier cwańszy! Ale nie bój się pan, Zygmont Szparaga jeszcze lepszy radion sobie założy.

— Nie daj się pan naśmiać. Lepszego, jak Filipsa nie znajdzie!

# Strzał



# DO GRUBSZEJ ZWIERZYNY

Zapach rozgrzanego asfaltu dociera aż do cienistej i zakurzonej głębi biura policji w porcie Dakaru. Za kulawym, przykrytym poplamioną bibułą stołem, drzemie roznegliżowany i spocony Biały, a na tle wypłowiałych i nieuszanowanych przez muchy anonsów i wykresów sterczy zamyślona, kędzierzawa głowa urzędnika-Murzyna. Bierze mój paszport do ręki i zaczyna skomplikowaną czynność przepisywania „personalii" na leżący przed nim porubrykowany arkusz. Starannie kaligrafuje imię, nazwisko, miejsce urodzenia i zawód. Cierpliwie czekam na moment, gdy tego pozornie wzorowego urzędnika, przyłapię na murzyńskiej „inteligencji". Pisząca ręka raptem zatrzymuje się i Czarny wpada w głęboką zadumę: w paszporcie mam zanotowany rok urodzenia, a na arkuszu rubryka głosi „wiek". Trzeba przeprowadzić, pozornie nieskomplikowaną, czynność odejmowania, co po dwudziestokrotnym maczaniu pióra w kałamarzu, po pokropieniu arkusza, paszportu, stołu i okolic dwudziestoma kleksami, zostaje dokonane z wielkim wysiłkiem. Tylko ponieważ odejmowanie było przeprowadzone odwrotnie, tj. rok bieżący został odjęty od roku urodzenia, na arkuszu wykwita niespodziewana dla mnie cyferka 58. Na moje oburzone pytanie, czy naprawdę wyglądam tak staro, dygnitarz przygląda mi się uważnie przez dłuższą chwilę, po czym zmienia 58 na 60. Jest gorąco, co nie usposabia do gniewu, lub kłótni, zresztą jest mi obojętne, że gdzieś, w księgach policji Czarnego Lądu, figuruję jako staruszek 60-letni.

Przy rubryce „miejsce wydania paszportu" — nowy przystanek. Murzyn uważnie przegląda wszystkie pieczątki, więc chcąc przyśpieszyć moment rozstania z nieuprzejmym dla mnie jegomościem, palcem wskazuję mu pieczęć „Starostwo Grodzkie Warszawa". Kiwa głową i uważnie przepisuje... podpis. Formalności są załatwione z iście murzyńską dokładnością: mam lat 60, a paszport został wydany w nieznanej geografii miejscowości „Janina Modzelewska".

Przez taki kontakt z czarnymi urzędnikami uczę się niczemu nie dziwić i niczym się nie przejmować, więc bez wrażenia słucham w innym biurze, gdzie załatwiam „kartę łowiecką", pouczenia, czego mi strzelać nie wolno. W uszach brzmią nazwy znane, jak żyrafa, hipopotam, słoń, biche-cheval (antylopa-koń) itp., jak również nazwy obce, których nie znam i które mnie wcale nie interesują. Wiem, że pomimo srogiego zakazu, będę strzelał do czego się da, do czego będę miał ochotę i odwagę. I to moje przeświadczenie niedługo zostaje sprawdzone.



Roztrzęsiony pocztowy Ford, który wiózł moją szanowną, a spoconą osobę psuje się w drodze. Stoimy w małej wsi murzyńskiej i mam w perspektywie parogodzinny postój. Decyduję się poświęcić go na uzupełnienie zapasów świeżego mięsa, więc przy pomocy swego służącego wynajduję miejscowego myśliwego - murzyna i wraz z nim udajemy się na łowy. Dwumetrowy dryblas jest mocno zaszczycony swoją funkcją i z powagą kroczy migając piętami w zdeptanych kaloszach. Nie uszliśmy dwóch kilometrów, gdy nagle mój strzelec, który pierwszy wszedł na wierzchołek niedużego pagórka, odwraca się, łapie mnie za ramię i sadza na kłującym krzaku akacji. Oczy mu wyłażą na wierzch z emocji, a brudny palec przyciśnięty do fioletowych warg, wraz z wielomówiącym sykiem, nakazuje absolutną ciszę. Drżącym ze wzruszenia szeptem pyta mnie, czy mam kule. Potakuję kiwnięciem głowy, ładuję do dubeltówki, a czarny strzelec rozsiewa wokół siebie szczypty tabaki. Domyślam się, że bada kierunek wiatru, ale o co mu właściwie chodzi — dokładnie nie rozumiem. Teraz stajemy na czworaki i zaczynamy uciążliwy marsz pomiędzy kłującymi trawami i krzakami. Hełm spada na oczy, dubeltówka uderza po kolanach, a już wysokie słońce pali kark i pot ciurkiem spływa po plecach i rękach. Zdenerwowanie Murzyna udziela się i mnie, ale prędko przechodzi pod wpływem ukłuć i zadrapań niegościnnej brussy. Ręce mam już pokaleczone przez ostre kamienie, a krew coraz to obficiej występuje na drącym się ubraniu. Niedługo mam już dosyć tego skradania się do niewiadomego celu i gwałtownie chcę wyprostować zbolałe plecy. Jakby przeczuwając mój stan, Murzyn przysiada, co skwapliwie czynię i ja. Chcę go spytać o co właściwie chodzi, ale przerażenie na jego twarzy i wymowne machanie rękami zamykają mi usta. Za chwilę wznawiamy nasz marsz. Strzelec idzie wolniej i ostrożniej, co napawa mnie nadzieją, że tajemniczy cel musi być już blisko. I rzeczywiście, po chwili mój przewodnik zatrzymuje się i ręką przywołuje do siebie. Jesteśmy na skraju wypalonej przez pożar brussy i za czarną, okopconą polaną, o 25—30 kroków ode mnie, sterczy zwarta ściana podzwrotnikowej roślinności. Gesty strzelca są bardzo wymowne: stuka się pięścią w lewy bok, co, jak się domyślam, ma oznaczać miejsce strzału. Lecz poza kilkoma białymi ptakami spacerującymi w cieniu palm, nic na razie nie widzę. Po chwili dostrzegam jednak długi, zakończony kitą włosów, ogon i jakieś potężne, płowe cielsko tkwiące nieruchomo pomiędzy pniami i krzakami. Głowy nie widzę wcale, ale za to wyraźnie widzę przednie nogi i tzw. komorę. Serce podskakuje mi do gardła i wali rytmem przyśpieszonym, już nie tyle ze zmęczenia, co z myśliwskiej emocji. Mierzę uważnie, strzelam i białe ptaki, których się tu okazało całe, bardzo liczne stado, z łomotem skrzydeł zrywa się z miejsca i przykrywa mi obiekt strzału. Razem z nimi zrywa się z wrzaskiem mój Murzyn i pędzi galopem w stronę gęstwiny. Mknę więc za nim i ja i w głębi krzaków, pomiędzy lianami, uschłymi liśćmi, trawą i krzakami widzę jasny brzuch i konwulsyjnie drgające nogi antylopy. Trafiona! Murzyn dostał szału radości i tańczy gubiąc swe przydeptane kalosze. Mam i ja na to ochotę, ale udaję wytrawnego i zblazowanego myśliwego. Z pozorną obojętnością szukam głowy dogorywającej zwierzyny, aby obejrzeć rogi. Znajduję je! Są wspaniałe, długie, grube i kręcone! Z obojętną miną, pomimo, że serce mi wali z emocji, podaję swój nóż Murzynowi, aby podcięciem gardła skrócił agonię 600-kilogramowej „biche-cheval", do której mi nie wolno było strzelać.



Obładowany 8-kilogramowymi rogami, pieczenią i napęczniały dumą, wracam, tym razem już w pozycji pionowej, do zreperowanego samochodu.

M. WALENTYNOWICZ



# Transmisja szczęścia

T. STACH.

Panna Lila miała całe mnóstwo wad.

Przede wszystkim była jedynaczką...

Ojca straciła dawno. Mieszkała z matką, kobietą nieprzeciętną, jeszcze piękną, materialnie zupełnie niezależną i aż nadto na kaprysy, porywy, a nawet ekscesy córki wyrozumiałą. To też wielu młodych i niemłodych ludzi, bywających u tych pań, w chwilach szczerości zwierzało się, że woleliby matkę. Wyrazem tego „wolenia" była niejedna aż nadto serio oferta, składana mamie, ale ona, pani Marta, traktowała każdą z nich tak samo pobłażliwie, jak wszystkie zachcianki panny Lili. Kończyło się też na tym, że nadobna córka nie mogła znaleźć ani ojczyma, ani męża.

Była przytem egzaltowaną, fantastką, niekiedy aż do impertynencji porywczą i nieobliczalną.

Ale posiadała i pierwszorzędne walory.

Przede wszystkim miała talent niezaprzeczony i wybitny, wsparty ogromnym zamiłowaniem do muzyki. Jej absolutny słuch i absolutne poczucie rytmu budziło uznanie wśród profesorów, a zawiść u koleżanek i kolegów ostatniego roku konserwatorium.

Ponadto była śliczna. Niepokalanie zgrabna, raczej smukła i niewysoka, czarowała, gdy chciała, przemiłym, ujmującym śmiechem, w którym znawcy dopatrywali się misternego splotu dziecięcej, nieomal, naiwności z prowokacją aż nadto świadomej swych powabów kobiety. Manifestacją tej świadomości były jej fiołkowe, słynne na pół Warszawy oczy, czasem bladawe, koloru jej imienia, marzące i ciepłe, czasem zimne, błyskiem szmelcowanej stali. Jakoż bywał nieraz jej pancerzem...

Ci, którzy umieli w nich czytać, domyślali się łatwo, że panna Lila uświadamia sobie nie tylko swe ponęty, ale i w s z y s t k i e powaby życia, do których ma prawo każda piękna kobieta, a które dość ogólnikowo streszczają się w jednym wyrazie „miłość". Że albo je — już zna, albo pragnie poznać — do dna.

Na szczęście, czy nieszczęście w tej dziedzinie zainteresowań panna Lili nie zdradzała żadnej wytrwałości. Zapalała się czasem ku temu, budząc najfałszywsze nadzieje w swych adoratorach, i gasła, odwracając się od tych perspektyw, jeśli nie z niechęcią, to z obojętnością.

To decydowało o tym, że stałych wielbicieli nie miała. Kręciło się koło niej ustawicznie wielu, ale też zmieniali się często.

Wyjątek stanowił pan Jerzy. Znał kiedyś jej ojca, potem ją, gdy była jeszcze na pensji. Maturę panny Lili przeżył i „obkuwał" razem z nią. Przyszła maturzystka, acz bez entuzjazmu, zgodziła się z tym i była to zresztą bodaj ostatnia ich zgoda. Cel wspólny został osiągnięty, ale odtąd sprzeczali się już, niemal bez przerwy pięć lat.

Pan Jerzy był człowiekiem raczej małomównym, a przy tym — bardzo serio. Dużo umiał, jeszcze więcej wiedział i miał dar przekonywania i jednania sobie ludzi.

Nie potrzeba dodawać, że panna Lili nie cierpiała go. Jeśli nie zrażała go do siebie zupełnie, to tylko przez wzgląd na serce matki, która młodemu inżynierowi okazywała wiele sympatii i uznania i do którego miała zupełnie zresztą zrozumiałą słabość.

Na początku tego lata pan Jerzy na jednej z wizyt u tych pań musiał wysłuchać całego pasma nieskoordynowanych zresztą jeszcze projektów, dotyczących wakacyjnego wyjazdu panny Lili i jej matki. Ponieważ kiedyś, bodaj w zeszłym roku, młody inżynier nadmienił, że aby mieć moralne prawo wyjazdu zagranicę, trzeba dobrze znać Polskę, panna Lili prowokując, a może wyprzedzając atak, zaczęła się rozwodzić nad brakami polskich uzdrowisk. Wszędzie jej było chłodno i głodno, nudno i brudno; nigdzie służby odpowiedniej ani dostatecznego komfortu. Chciałaby uciec od znajomych i wygrzać się gdzieś na południowym słońcu. Wreszcie uczepiła się „brudów" w naszych pensjonatach i na ten temat wygłosiła dłuższe „exposé".



Pan Jerzy uśmiechnął się, wzruszył ramionami i odparł.

— Polaków może pani spotkać w całej Europie, a co do brudów, to mało ich pani miała przed dwoma laty w Bułgarii, albo w południowych Włoszech?

— No to co?

— No to tylko brak konsekwencji. Chce pani odwiedzić najczystszy kraj na świecie, niech pani pojedzie do Holandii.

Panna Lili, jak zwykle w takich razach żachnęła się. Dlaczego Holendrzy mają być najczystsi, skąd on to wziął, znowu frazes!

Zaczął się atak przerywany z rzadka odpowiedziami pana Jerzego, że był w Holandii dwukrotnie, że wie, że ludność nawet najuboższa kąpie się tam codziennie, że widział gospodynie szorujące wewnątrz kominy, — nic nie pomogło. Panna Lili zacięła się, a wszystko wróżyło, że tym razem zapowiada się na przesilenie ostrzejsze i dłuższe.

*

Tymczasem, nim panie wyjechały, nadszedł dzień wyjazdu pana Jerzego. Istniał dawny, tradycją opromieniony zwyczaj, że raz do roku, właśnie w przededniu swego urlopu, młody inżynier urządzał przyjęcie, na które przychodziły również i pani Marta z córką. Bywało na nim po kilka, kilkanaście osób, przeważnie bardzo starannie dobieranych, a panna Lili, choć ociągała się zwykle i mawiała, że się na nich nudzi — przychodziła jednak chętnie. Nie stawała się na nich wprawdzie ośrodkiem zachwytu i adoracji, ale, mimo wysokiego poziomu umysłowego, jaki na nich panował czuła się na nich dobrze i — co ją niepomiernie cieszyło — swobodnie.

W dzień tegorocznego przyjęcia wstała od obiadu wcześniej i wybierała się do swojego fryzjera.

Przed wyjściem zagadnęła ją matka:

— Wiesz, dziś o 8-ej?

— Co o 8-ej?

— U pana Jerzego.

— Jakto, kiedy zawsze bywało o 9-ej.

— Tak, ale w tym roku o 8-ej.

Panna Lili wzruszyła lekko ramionami.

— Jeszcze nie wiem, czy tam w ogóle pójdę...

Ale, że tak mawiała co roku, więc pani Marta nie przejmowała się tym zbytnio. Zresztą wiedziała, że pan Jerzy zyskiwał w oczach jej córki w mia-

rę oddalenia, a że ostatnio żadna z pań, (a przynajmniej panna Lili) nie widziała go przeszło od miesiąca, t. j. bodaj od owego sporu o Holendrów, więc można się było spodziewać, że dziś powita go chętniej.

I panie rozstały się. Córka wiedziała, że przyjechawszy po 8-ej zastanie tam matkę, a matka... że tak czy owak spotka się tam z córką.

Pan Alfred, fryzjer panny Lili, młody z tego powodu męczennik, był zbyt



przenikliwym znawcą duszy kobiecej, żeby nie spostrzec już przy myciu lilinej głowy, że kapryśna, zazwyczaj klientka jego zachowuje się dziś wyjątkowo powściągliwie i obojętnie, a w lustro zerka tylko czasami i jakby od niechcenia. Było to z jej strony wyrachowanie, wiedziała bowiem, że za godzinę przyjdzie tu pani Marta, że tak jak i ona odda się w ręce pana Alfreda, że mistrz ondulacji wiecznej i doczesnej nie omieszka zwierzyć się ze swych spostrzeżeń jej matce. Będzie to jeszcze jednym potwierdzeniem, że panna Lili, ani do dzisiejszego uczesania, ani do tego, jak dziś wieczorem będzie wyglądać — nie przywiązuje żadnej wagi, że zatem (a o to głównie chodziło) i gospodarz, który będzie ja dziś gościł, jest jej najzupełniej obojętny. Jak dalece dyplomacja ta miała ją zawieść pokazał dalszy bieg wypadków.

Jakoż, około wpół do siódmej, weszła pani Marta. Panna Lili była już gotowa. Wstała, zapłaciła i nie spojrzawszy nawet w lustro zapewniła matkę, że wstąpi tu po nią o 8-ej, ma bowiem jeszcze iść po jakieś nuty do Arcta, a potem wstąpić do Swana, gdzie miały się zebrać dziś wieczorem jej konserwatoryjne koleżanki.

— Nie psuj sobie zabawy, kochanie, — rzekła pani Marta — i nie wstępuj tutaj. Spotkamy się już t a m...

— Dobrze, mamusiu, — odparła zimno panienka i wyszła.

Panu Alfredowi sądzone było tego dnia przeżyć jeszcze jedno niepojęte zdarzenie. Było nim zachowanie się pani Marty.

Ta piękna, dostojna i spokojna klientka była dziś nieoczekiwanie wymagająca i drobiazgowa. Już przy rozjaśnieniu kazała sobie pokazywać różne odcienie, zmieniać światło. Potem po nałożeniu hełmu narzekała na temperaturę, kazała nawet przerwać seans, a w przerwie długo przyglądała się w lustrze swej twarzy. Potem znów marudziła przy suszeniu i narzekała, że jej skóra na głowie opierzchnie (!?!?).

Wreszcie zabieg był skończony, ale, o dziwo, pani Marta nie podnosiła się z fotela, tylko westchnęła i rzekła, że jest zmęczona.

Cały zakład już pustoszał. Był to dzień powszedni i nie przedświąteczny, a zbliżała się już 8-ma. Ostatnia klientka wyszła przed kwadransem, cały prawie personel opuścił już zakład, woźny ukradkiem zamiatał mokrą ścierką linoleum, a portier w szatni, gdzie był tylko kapelusz i parasolka pani Marty, drzemał.

W kilka minut potem pani Marta opuściła zakład w którym beniaminkiem i główną atrakcją był pan Alfred. Młody mistrz grzebienia wyszedł tuż za nią i — jakież było jego zdumienie, gdy zobaczył ją wchodzącą do jakiejś kawiarni. Aż przystanął. A gdy przechodząc koło okna kawiarni spostrzegł panią Martę zagłębioną w czytaniu jakiejś gazety, pogładził się po swej falującej czuprynie i szepnął.

— Zagadkowe są te klientki. Zagadkowe i czasem niepojęte.

Panna Lili zadzwoniła do drzwi pana Jerzego w kilka minut po 8-ej, będąc pewna, że zastanie tam już matkę i kilku gości. Tymczasem pan Jerzy był sam. Gdy spostrzegł ją wchodzącą, jakby cień zdziwienia przebiegł mu po twarzy. Powitał ją w milczeniu, (i ona — umyślnie nic nie rzekła) a potem wprowadził ją do swego gabinetu.

— Czy chce pani posłuchać Giesekinga — rzekł podchodząc do pięknego radioodbiornika.

— Owszem...

— Właśnie za minutę ma się zacząć jego koncert w Filharmonii paryskiej.

Włączył odbiornik i po kilku sekundach odezwał się głos speakera zapowiadającego koncert b-moll Czajkowskiego.

Panna Lili rozsiadła się wygodnie w szerokim fotelu, rozdęła chrapki i cała zamieniła się w słuch.

I zaczęła się „godzina cudu".

Gabinet zmienił się w świątynię. Z głośnika płynęły czyste, niepokalane dźwięki. Z dostojeństwa utworu i arcymistrzostwa wykonania nie uroniono ani jednego dźwięku, ani jednej finezji, ani jednego pianissima. Biegły minuty za minutami, a oni pochyleni ku sobie zdawali się wstrzymywać oddech w piersiach. Nawet stary zegar nie zdołał się oprzeć urokowi chwili, bo nagle stanął — i słuchał.

Przed samą dziewiątą, gdy przebrzmiały ostatnie akordy, cisza zaległa gabinet młodego inżyniera. Słychać było tylko bicie dwojga serc, a potem z głośnika popłynęła długa, huraganowa burza oklasków. Wreszcie, gdy i ona zamilkła, pan Jerzy wyłączył aparat.

Nikt nie śmiał przerwać milczenia, aż wreszcie wzruszenie i podziw wezbrało w pannie Lili.

— Co za cudny odbiór, idealnie czysty... Cóż to za aparat?

— Holenderski, 1939 rok — odparł nie bez pewnego nacisku pan Jerzy.

Panienka zrozumiała. Ta odrobinka wyższości, jaką miał nad nią w tej chwili jej towarzysz, rozpłynęła się ze szczętem, w rozrzewnieniu, wdzięczności i podziwie.

— Tak — rzekła z zastanowieniem — tak c z y s t y odbiór mógł stworzyć tylko n a j c z y s t s z y naród na świecie. Potem uśmiechnęła się ciepło i wyciągnęła do pana Jerzego rękę.

W kilka chwil potem przed samą dziewiątą ozwał się dzwonek i weszła pani Marta. Pan Jerzy witał ją dłużej i tkliwiej niż zwykle. Panna Lili spojrzała na matkę z zakłopotaniem, ale bez wyrzutu, może nawet z wdzięcznością...

A potem zeszli się i inni goście. Między nimi niestary, ale bardzo mądry, niedawno zemerytowany były szef pan Jerzego. Ten domyślił się pierwszy i w godzinę później winszował czegoś na uboczu młodemu inżynierowi.



Najbliżej stojący słyszeli tylko urwane zdania.

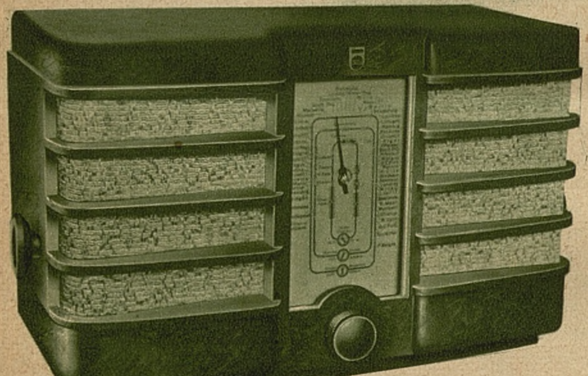
... — „A oprócz tego robi pan najlepszy interes..."

Koło północy wiedzieli już wszyscy. Winszowano również pannie Lili, która cały wieczór była dziwnie rozmarzona.

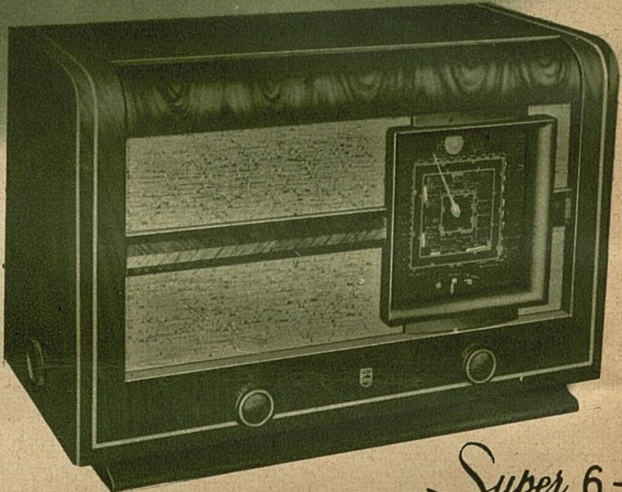
W tydzień później pani Marta, jej córka i pan Jerzy wyjechali na kilka tygodni do Scheveningen.

# TRZY NOWE GWIAZDY *na* FIRMAMENCIE RADIOWYM

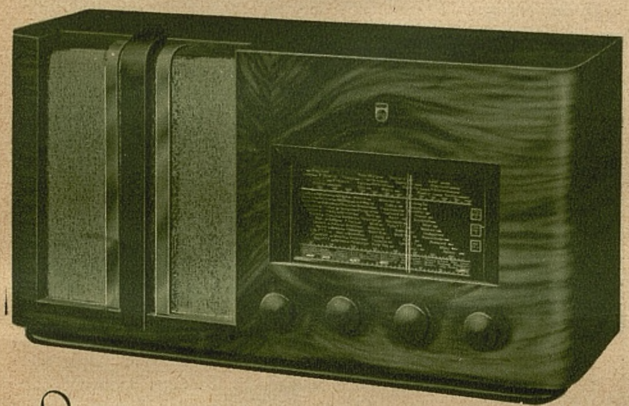


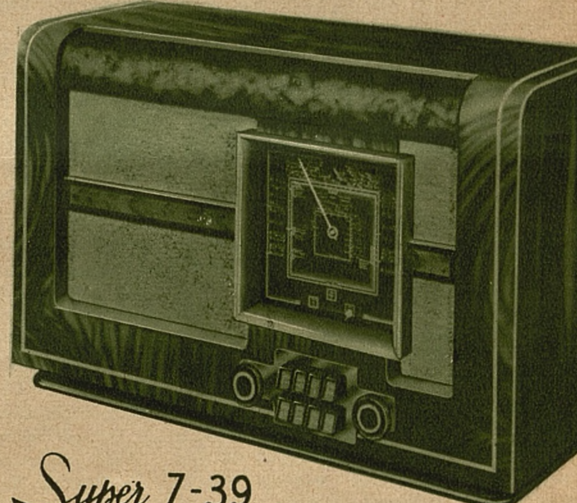
*Super* 4-39 A/U



*Super* 6-39



*Super* 4-39 B



*Super* 7-39

## *nowe odbiorniki Philipsa na sezon 1938–39*

Pod tym hasłem wypuszczono na rynek nowe odbiorniki Philipsa na sezon 1938-39. Te 3 nowe gwiazdy są symbolem trzech typów: 4—39, 6—39 i 7—39. Przewyższają one wszystkie dotychczasowe zdobycze w dziedzinie radiofonii i błyszczą na firmamencie radiowym zaletami, które dotąd wydawały się niemożliwe do osiągnięcia.

Udoskonalenia te zrealizowano w odbiorniku 4—39, noszącym nazwę „małego supera o potężnym głosie", a w jeszcze większym stopniu w luksusowej superheterodynie 7—39.

Wysiłki konstruktorów Philipsa dowiodły raz jeszcze, że to, co niedawno stanowiło muzykę przyszłości — dziś przybrało konkretne formy.

Tak było i z monosterem, który był pewnego rodzaju rewelacją w świecie radiowym.

Po monosterze przyszła kolej na jeszcze wspanialszy wynalazek. Jest nim: odbiornik z klawiaturą.

„Klawiatura"—wydaje się to takie proste, a jednak ileż wysiłków, ile eksperymentów towarzyszyło jej stworzeniu. Dziś potrafimy to ocenić, gdy za naciśnięciem klawisza i bez żadnych dalszych manipulacyj odezwie się jedna ze stacyj, których audycyj najczęściej słuchamy. Konstruktorzy Philipsa wyszli z założenia, że każdy radiosłuchacz ma około 8-miu ulubionych stacyj, których audycji regularnie słucha. Obecnie można każdą z tych stacyj usłyszeć za naciśnięciem klawisza.

Przejdźmy teraz kolejno modele odbiorników nowej serii Philipsa. A więc w pierwszym rzędzie odbiornik 4—39 A/U, zwany „małym superem o potężnym głosie". Ten pełnowartościowy, 7-obwodowy super jest w cenie dawnych odbiorników jednoobwodowych. Posiada elegancką bakelitową skrzynkę, praktyczną skalę zegarową, potężny głos oraz odznacza się doskonałym odbiorem na wszystkich zakresach fal. Nabycie supera 4—39 nie przedstawia trudności nawet dla ludzi o bardzo skromnych dochodach — a to dzięki specjalnemu systemowi ratalnemu Philipsa. Odbiornik ten ukazał się na rynku w 2 modelach: typ A na prąd zmienny, typ U na prąd zmienny i stały

Należy jeszcze wspomnieć o typie 4—39 B, który posiadając wszystkie najwybitniejsze zalety odbiorników 4—39 A/U — jest skonstruowany na zasilanie z baterii i oddaje wprost nieocenione usługi tym wszystkim, którzy chcąc mieć tak wysokiej klasy odbiornik — nie posiadają w mieszkaniu instalacji elektrycznej.

Omówimy z kolei odbiornik 6—39. Jest on, dzięki pięknej skrzynce, prawdziwą ozdobą każdego mieszkania. Posiada doskonały odbiór na wszystkich zakresach fal oraz zupełnie nowy głośnik o pełnym i czystym dźwięku. Nadzwyczaj zaś precyzyjne wykończenie szczegółów technicznych układu uprawnia go do miana radiowego arcydzieła.

Stwierdzić należy, że dzisiejszy radiosłuchacz jest coraz bardziej wymagający, na skutek czego tak dawniejsze, jak i nowopowstałe rozgłośnie całego świata — znakomicie poprawiły swój program. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do odbioru krótkofalowego, który pozwala słuchać nie tylko wszystkich audycji europejskich, ale także nawiązać kontakt z innymi częściami świata. Tak oto — stała się faktem dokonanym błyskawiczna podróż dookoła świata... gdy siedząc w wygodnym fotelu, przy głośniku radiowym, słyszymy Japonię, Amerykę Południową, U.S.A. czy Afrykę.

— Wiemy wszyscy, że odbiór radiowy jest w dużej mierze uzależniony od warunków atmosferycznych. Badania naukowe, prowadzone w tej dziedzinie, ustaliły, że rok 1939 będzie specjalnie korzystny dla odbioru krótkofalowego. Laboratoria Philipsa wyzyskały tę okoliczność i skierowały poszukiwania i prace w kierunku jak najlepszego odbioru krótkofalowego.

Olbrzymim krokiem naprzód jest tu lampa „Silentoda", zastosowana w luksusowym odbiorniku Philipsa 7—39. Daje ona pełną gwarancję czystego i bezszumnego odbioru krótkofalowego. Wspomnieć tu jeszcze należy o wyżej opisanym systemie klawiaturowym, aby stwierdzić, że super 7—39 jest aparatem, skupiającym w sobie wszystkie ostatnie zdobycze w dziedzinie radiofonii: że jest to odbiornik luksusowy, który zadowoli najwybredniejszego radiosłuchacza.

Tak więc odbiorniki Philipsa na sezon 1938-39, błyszcząc, jak wspaniałe gwiazdy na firmamencie radiowym — stanowią, każdy w swej klasie, prawdziwe arcydzieło.

Edw. GOTARD

# DUCH CZASU



Księżyc zajrzał ciekawie przez gotyckie okno wysokiej komnaty i zatrzymał się zdumiony w swej wędrówce po niebie. — Któż to jeszcze pracuje o tak późnej porze — pomyślał, siedzący okrakiem na jego sierpie Pan Twardowski i przyjrzał się uważnie.

W migocącym blasku kaganka kołysał się na ścianie olbrzymi cień. Postać ludzka pochylała się nad długim bufetem, pełnym retort, kolb, trójnogów, naczyń szklanych i metalowych. Nad płomieniem paleniska ciecz jakaś wrzyla się w tyglu i para gęstymi kłębami unosiła się pod łukowate sklepienie.

Teraz dopiero spostrzegł Pan Twardowski, że w pracowni znajduje się jeszcze jeden człowiek. Siedział nad stołem, zawalonym grubymi foliałami, długa jego siwa broda spływała na pożółkłe karty otwartej księgi, a usta wymawiały po cichu jakieś zaklęcia. Pan Twardowski poznał go od razu.

— Biedny mój przyjacielu Fauście — szepnął do siebie, — wciąż jeszcze szukasz prawdy w spleśniałych od starości tomach i wciąż jeszcze wierny twój uczeń, Wagner, gotuje nieznane ingrediencje. Jakże mi was żal. — Usiłował dojrzeć, co Faust czyta, ale nie zdążył, gdyż księżyc ruszył właśnie w dalszą drogę i widać było tylko rurę teleskopu, który pustym w tej chwili okiem spoglądał w niebo.

Na dworze była wiosna. Łąki zazieleniły się świeżą trawą i kwieciem; pobliskie pola poczynały już złocić się zbożem, drzewa kwitły, a po nocach śpiewały gorąco w okolicznych zaroślach słowiki. Wszystko na ziemi radowało się życiem i słońcem.

Ale doktór Faust nie wiedział o tym. Zamknięty w swej pracowni z wiernym Wagnerem szukał w księgach mądrości i prawdy.

— Ach — westchnął, — późno już, i znów nic nie znaleźliśmy! Gdzież jesteś, kamieniu filozoficzny, gdzie poznać istotę rzeczy, istotę człowieka i życia? Eliksir młodości! Gdybyż móc choć raz jeszcze tylko być młodym! Duszę dałbym za to. Idź spać — zwrócił się do Wagnera, — ja popatrzę jeszcze na gwiazdy.

Wagner wyniósł się cicho, a Faust podszedł do teleskopu. Ujrzał najpierw oddalający się księżyc, na którym Pan Twardowski był już tylko plamką maleńką, ale naraz coś innego przyciągnęło jego uwagę, coś, czego nie widział nigdy dotychczas. Trzy światełka, tworzące niewielki trójkąt: czerwone, zielone i białe, przesuwały się po sklepieniu niebieskim, zdając się przybliżać coraz. — Jakaś nieznana gwiazda potrójna — pomyślał doktór Faust, gdy naraz do uszu jego doszedł dziwny warkot. — Nie — szepnął, — to nie gwiazda, to ptak jakiś olbrzymi. O, jest już blisko, osiada na łące, a jakie pomruki złowrogie wydaje. Obudzę chyba Wagnera i pójdę sprawdzić, co to za gatunek.

Ale nie zdążył doktór Faust dojść do drzwi, gdy te się otworzyły z trzaskiem i na progu stanęła jakaś wysoka postać w długich, zawiązanych u dołu spodniach, połączonych w jedną całość z luźną bluzką. Postać miała na głowie jakby kapuzę z otworem na twarz tylko, i nosiła wielkie, czworokątne okulary.

— Kto ty jesteś? Skąd się tu wziąłeś? — odezwał się doktór Faust, a nogi zatrzęsły się pod nim ze strachu.

— Nie poznajesz mnie, mości Fauście? — odparł swobodnie nieznajomy, podnosząc na czoło okulary i wpijając się czarnymi oczami w twarz gospodarza.

— Oblicze to kogoś mi przypomina, ale rozeznać dobrze nie mogę.

— Jestem Mefistofeles. Czołem waści!

Doktór Faust chciał się przeżegnać, ale pomyślał, że byłby to nietakt, więc się powstrzymał.

— Przyszedłem — mówił tymczasem Mefistofeles, — gdyż zdawało mi się, że mnie wzywałeś. Wsiadłem w samolot i oto jestem.

— Ja miałbym ciebie wzywać?

— Tak. Mówiłeś, że dałbyś duszę za eliksir młodości. Chcę zrobić z tobą interes. Mój środek nie jest wprawdzie opatentowany, ale to ostatni wynalazek, za którego skutek możemy ręczyć.

— Czyż być może?

— Słowo diabelskie na to. Wynalazek jest zgodny z duchem czasu, którego przecież między innymi szukasz, a to gwarantuje jego jakość i skuteczność. Wszak wiesz, że gdy rzecz jakaś jest z duchem czasu zgodna...

— Wierzę ci. Oto moja ręka!

— O key, a teraz spiszemy mały kontrakcik. Ja cię wwiodę w nowe życie, a ty, ty wiesz czego ja żądam w zamian. Przyjdę po ciebie, gdy już z tego życia nie będziesz w stanie żadnym zmysłem korzystać. Oto igła i strzykawka, proszę o kroplę krwi dla podpisu. Zrobione, dziękuję. — Złożył cyrograf, wsunął go do portfelu, który schował w kieszeń bluzki. — A teraz idziemy — zwrócił się ponownie do Fausta, — moja awionetka jest na dwie osoby, w mig będziemy na miejscu.

●

— Kiedy to jest na razie zupełnie niemożliwe — mówił niezwykle, jak na niego, poważnie i stanowczo Mefistofeles. — Czy nie rozumiesz, że ona nie będzie chciała spojrzeć nawet na początkującego „patałacha". Możesz co najwyżej pójść do niej później i poprosić o autograf.

— Ależ — żachnął się Faust, — nie mogę przecież zachowywać się, jak sztubak, zbierający podpisy gwiazd, ja, doktór wszechnauk przyrodniczych, a poza tym moja bro... — tu sięgnął do brody, ale w porę przypomniał sobie, że ją zgolił przecież.

Siedzieli na trybunie, okalającej niewielki, czerwony plac, poznaczony białymi liniami z siatką po środku i czekali na rozpoczęcie meczu.

— Podobno Małgorzata jest we wspaniałej formie — mówił siedzący obok nich jakiś pan do swej towarzyszki. — Czy słyszała pani, że mają jej przyznać Wielką Honorową Nagrodę Sportową i odznaczyć krzyżem zasługi?

Faust usłyszał to i spojrzał z wdzięcznością na mówiącego.

Tymczasem Mefisto nachylił się do jego ucha. — Zachowuj się tylko przyzwoicie — szepnął. — Tu przychodzi bardzo dystyngowane towarzystwo, sama śmietanka, więc uważaj, żebyś mi nie zrobił wstydu.

Przestroga ta była na czasie, gdyż kilka dni temu wrócili obaj z meczu bokserskiego, gdzie bywa zupełnie inna, nie krępująca się w wyrażaniu swych uczuć, publiczność. Mefisto zaprowadził tam Fausta, gdyż sądził słusznie, że w ten sposób najłatwiej zapozna go z duchem czasu.

I rzeczywiście, nie mylił się.

Był to mecz Europa — Ameryka o złote rękawice. Faust z miejsca dał się porwać nastrojowi widowni. Już przy pierwszej walce tak się zapalił, że Mefisto musiał go mitygować, gdyż obawiał się, że doktorowi nie starczy zapału i entuzjazmu na najważniejszą



walkę Kolczyńskiego z O'Malleyem. Ale były to płonne obawy, gdyż dopiero teraz długo hamowany temperament Fausta wyładował się w całej pełni. Jego krzyki brzmiały tak donośnie, że ludzie dookoła, choć sami byli jak w transie, poczynali zwracać na nich uwagę. Takie zachowanie dobre było na galerii, lecz nie na miejscach po 25 złotych.

Ale gdy pod jednym z ciosów Kolczyńskiego O'Malley zwalił się na ziemię, pękły wszystkie tamy. Faust ochrypł już od krzyku, ale rzucił w górę kapelusz, płaszcz i laskę, wyciągnął do nieba ręce.

— Zwariowałeś! — syknął doń z wściekłością Mefisto, — myślisz, że mam dużo pieniędzy na nowe okrycie dla ciebie! — Ale Faust rzucił mu się z radości na szyję, zaczął go ściskać i całować.

Zresztą entuzjazm zapanował powszechny i sam Mefistofeles był wyraźnie zadowolony, gdy sędzia wreszcie ogłosił zwycięstwo Polaka.



— To było widowisko! — mówił na ulicy Faust. — To jest sport, ruch, życie! Czyś widział, jak ci chłopcy są zbudowani? A ja zawsze ignorowałem piękno fizyczne. Rozpiera ich energia, młodość! Ach, gdybym ja tak mógł! — westchnął po chwili. A w kilka dni potem doszło między nimi do decydującej rozmowy: — Dość mam tego gnuśnienia w bezczynności — awanturował się Faust. — Co mi po tobie; oprowadzasz mnie tylko po imprezach sportowych, każesz patrzyć, jak inni cieszą się życiem. Dość tego, i ja również chcę się zabrać do sportu! To mnie dopiero odmłodzi.

Mefisto uśmiechnął się tylko i zatarł ręce z radości.

Od tej chwili zaczęło się inne życie. Faust, w którym wskutek długoletniej bezczynności nagromadziły się olbrzymie zasoby energii, szalał po prostu po stadionach, basenach, bieżniach. Pływał, wiosłował, jeździł konno, uprawiał lekkoatletykę, która mu specjalnie przypadła do gustu. Mefisto nie mógł nadążyć spełniać jego życzenia. To mu były potrzebne kolce, to tyczka do skakania, to stoper do mierzenia czasu, gruszka bokserska do treningu, a szczytem wszystkiego było, gdy zażądał własnego basenu pływackiego. Poza tym musiał mu Mefisto służyć jako sparring partner przy treningu bokserskim i brał codziennie wały, gdyż nie mógł się obronić przed lawiną potężnych ciosów. Raz nawet został prawidłowo znokautowany. Na próżno tłumaczył Faustowi, że taki system do niczego nie doprowadzi, że nie można być mistrzem we wszystkich dziedzinach, że konieczna jest specjalizacja. Faust nie chciał o niczym słyszeć, co poniedziałek kupował Przegląd Sportowy i wolne od treningu chwile spędzał na sporządzaniu tabel dziesięciu najlepszych, lub usiłował przewidzieć wynik meczu lekkoatletycznego Polska—Ameryka. Po zwycięstwie nad Francją był bowiem strasznym optymistą.

Więc Mefisto wziął się na inny sposób. Właśnie w tym celu postanowił przyprowadzić go na mecz tenisowy i pozwolić mu ujrzeć po raz pierwszy przedmiot jego skrytych marzeń, mistrzynię Polski i wicemistrzynię świata w tenisie Małgorzatę Jadwiżankę, pospolicie i przez wszystkich zwaną Małgosią, lub naszą Małgosią.

Tymczasem przy wejściu na kort wszczął się jakiś ruch, a za chwilę burza oklasków powitała sylwetkę kobiecą w pasiastym żakiecie i krótkiej spódniczce odsłaniającej całe uda.

Faust wpił się z całej siły palcami w ramię Mefistofelesa, aż ten syknął z bólu i rozszerzonymi z zachwytu oczyma wpatrywał się w mistrzynię. Nie była może taka ładna, ale za to mocno zbudowana, tryskająca zdrowiem i siłą.

Brawa już niemal milkły, gdy nagle... stała się rzecz niepojęta, rzecz straszna. Obecni na meczu ujrzeli z przerażeniem, że z środkowej loży podnosi się jakaś postać męska, wskakuje na barierkę i potężny okrzyk rozdarł skupioną ciszę. Niech żyje panna Małgorzata!

Mistrzyni spojrzała ciekawie w tę stronę, uśmiech rozjaśnił jej twarz i przyjaźnie skinęła dłonią nieznanemu wielbicielowi. A ten stropił się, zaczerwienił jak żak i wybiegł z loży. Mefisto ledwie mógł za nim nadążyć.

Zrobię, jak mi radziłeś — gorączkował się w domu Faust — nie rzucę wprawdzie innych sportów, ale będę je uprawiał tylko jako trening kondycyjny, poświęcę się zaś — tenisowi...

— Nareszcie coś mądrego powiedziałeś — ucieszył się Mefisto, który zrozumiał, że przestanie wreszcie być workiem treningowym.

●

Księżyc zajrzał ciekawie przez wysokie okna wykwintnej „kawalerki" i zatrzymał się zdumiony. — Któż to jeszcze pracuje o tak późnej porze? — pomyślał siedzący okrakiem na jego sierpie Pan Twardowski i przyjrzał się uważnie.

Na miękkim tapczanie w rogu pokoju leżał, niewidzącymi oczyma wpatrując się w sufit starszy pan w eleganckiej piżamie. Na kołdrze, na krzesełku obok, na ziemi leżały pliki gazet we wszystkich językach świata. Księżyc chciał już ruszyć dalej, ale Pan Twardowski zatrzymał go i począł czytać tytuły w gazetach. Były to wyłącznie pisma sportowe: „Nieznany nikomu zawodnik zdobywa mistrzostwo Polski", „Faust wygrywa z Tłoczyńskim", „Sukces Fausta w Berlinie", „Wimbledon pod znakiem Fausta".

Pan Twardowski uśmiechnął się, skinął ręką, księżyc zwolna począł chować się za chmurę.

W tej chwili starszy pan obudził się z zamyślenia czy z drzemki. — Tak, tak — szepnął — tak to dawniej bywało, gdzie jesteście czasy mego szczęścia, gdybyście chciały jeszcze raz powrócić. Czemu nie przybywasz Mefistofelesie!

Naraz dźwięk jakiś zwrócił jego uwagę. — Kto tam? — Krzyknął usiłując nadać swemu głosowi groźny ton.

— To ja Twój przyjaciel.

— Mefisto — Faust usiłował zerwać się z łoża, ale natychmiast opadł bez sił na poduszki.

— Tak jest. Przyszedłem po długim niewidzeniu. Zbliżył się czas. Jesteś już stary i niedołężny, nie tylko nie możesz uprawiać więcej sportu, chodzić na zawody, ale nawet czytywać gazet z ich opisem. Chodź ze mną.

Faust leżał nieruchomy — myślał. Naraz odezwał się znów. — Masz rację Mefistofelesie — rzekł — umowa jest umową, ale przecież mam prawo do jeszcze jednego życzenia.

— Masz prawo.

— Przynieś mi odbiornik radiowy.

— Ha, ha, ha — zaśmiał się Mefisto z przyjemnością.

— Tylko, żeby był pierwszorzędnej marki.

Mefisto wybiegł na ulicę. Naprzeciwko był salon Philipsa. W minutę był gotów i wrócił do Fausta.

— Już jestem.

— Dobrze nastaw mi Warszawę I.

Mefistofeles zbliżył się do kontaktu w ścianie, włączył aparat.

W ciszę pokoju wdarł się głos speakera:

Hallo, hallo, obecnie transmitować będziemy reportaż z meczu tenisowego...



Nie skończył. Głośny śmiech zagłuszył słowa płynące z głośnika. To śmiał się Faust.

— Zdaje mi się ha, ha, ha, zdaje mi się, że przyszedłeś nieco za wcześnie, przyjacielu — zwrócił się do swego gościa. Odpowiedziało mu milczenie. Mefistofelesa nie było już w pokoju.



# LUDZIE CYRKU

Któż z nas nie zna skocznych tonów charakterystycznej muzyki cyrkowej?

Któż z nas nie pamięta z czasów dzieciństwa oszałamiających dreszczów emocji, doznawanych pod szarym płótnem namiotu cyrkowego?



Dla kogo z nas jest obcą specyficzna, ostra woń przegrzanej atmosfery cyrku?...

Uderzenie w gong. Sygnał rozpoczęcia widowiska.

W takt burzliwych, namiętnych tonów muzyki wpada na arenę koń, unoszący na swym grzbiecie wdzięczną postać woltyżerki. Galopem okrąża arenę. Kilka zręcznych ewolucyj na końskim grzbiecie, kilka całusów w stronę publiczności i brawa. Brawa uprzejme, życzliwe, ale jeszcze chłodne, powściągliwe nieco. Publiczność wie, że to wstęp zaledwie, że czeka ją jeszcze wiele innych, bardziej emocjonujących atrakcyj, entuzjazm trzeba zarezerwować na później.

Na scenę wtacza się pocieszna sylwetka klowna - niezgraby, plączącego się w nieustannej gorliwości pomagania wszystkim i oddającego wszystkim niedźwiedzie usługi. Wybuchy śmiechu galerii, która oklaskuje z zapałem swego faworyta, prowokują go do coraz niefortunniejszych pomysłów.

Następne numery programu.

Para żonglerów przerzuca niezliczoną ilość różnokolorowych piłeczek i tekturowych talerzy, tworząc w powietrzu skomplikowane figury.

Mag w wysokiej, fioletowej czapce, przy pomocy czarodziejskiej laseczki, wyciąga z szerokich, fałdzistych rękawów całe stosy różnobarwnych serpentyn, bukiety róż pachnących i wreszcie stadko trzepocących gołębi...

Publiczność rozgrzewa się powoli. Oklaski są coraz żywsze.

Na arenę wpadają konie... Piękne konie cyrkowe, błyszczące ozdobną uprzężą, konie rasowe o smukłych nogach, małych wdzięcznie osadzonych głowach, konie szlachetnej, gorącej krwi, pulsującej pod lśniącą jak atłas, wypielęgnowaną skórą...

Biegną czwórkami, parami, pojedyńczo po miękkim piasku areny, biegną, nie, tańczą... rytmicznie, lekko, z nieopisaną gracją.

Dyrektor cyrku w lśniącym cylindrze, we fraku i białych rękawiczkach, z nieodłącznym biczem w dłoni, kłania się uprzejmie, uśmiechnięty. Klaśnięcie biczem — zmiana figury — konie unoszą się na tylnych nogach, idą, płyną niemal harmonijnie w takt straussowskiego walca. Na zakończenie piękny dyg, przysiad na tylnych nogach.

Publiczność szaleje z zachwytu.

Następnie emocjonujące popisy linoskoczków. Skok z rozkołysanego trapezu głową w dół, dreszcz przerażenia przebiega po plecach widzów. Moment niesłychanego napięcia nerwów i naprężenia. Uff! Skoczek w ostatniej chwili uchwycił o 10 m niżej zawieszony trapez. „Skok śmierci" udał się. Zrywają się brawa rozentuzjazmowa-

nej publiczności. Ale to jeszcze nie wszystko. Dopiero teraz nastąpi „clou" programu: popisy dzikich zwierząt. Słynny pogromca, w czerwonym, złoto szamerowanym uniformie wchodzi do klatki pełnej lwów i tygrysów. Dzikie rozjuszone bestie pod wpływem magnetyzującego wzroku pogromcy zamieniają się w potulne kociaki. Największemu, najgroźniejszemu z nich pogromca kładzie głowę w paszczę. Śmiertelna cisza wyczekiwania. Co to? Lwica liże pogromcę po twarzy. Huragan, istny huragan oklasków nagradza brawurę pogromcy.

I jeszcze kilka numerów dla dopełnienia programu: parę popisów tanecznych, dźwiganie ciężarów, widowisko dobiega końca.

To jest cyrk taki, jakim przyzwyczailiśmy się go widzieć, cyrk od strony areny.



Jak jest jednak w rzeczywistości? Jakimi są ci ludzie naprawdę w pozostałych chwilach życia, gdy zrzucają z siebie maskę klowna, czy barwny strój woltyżerki?

Życie ich, tak mało znane publiczności cyrkowej, jest bardzo ciekawe i różnorodne. Ludzie cyrku tworzą jakby specjalną, zamkniętą kastę, której życie gorączkowe, ruchliwe, pełne wrażeń i zmian, tak bardzo się różni od leniwego, sytego żywota przeciętnego mieszczucha, że trudno byłoby o jakieś prawdopodobieństwa czy analogie.

Ludzie cyrku wszędzie są gośćmi, niezależnie od wielkości i zasobności cyrku. Życie ich składa się z ciągłych przyjazdów i odjazdów. Mieszczuch, gdy wyjeżdża nawet, ma zawsze do czego i do kogo wrócić, ma swój dom. Ludzie cyrku jadą, wciąż jadą, ale nigdy nie wracają... nie mają żadnego stałego miejsca zamieszkania, żadnego stałego adresu. Często się zdarza, że na tym tle dochodzi do zabawnych nieporozumień. Portier hotelowy, wymagając nieraz od artystów cyrkowych podania swego stałego miejsca zamieszkania, prowokuje ich do podania takiego adresu: Miasto Radości, ul. Główna.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że życie artystów cyrkowych składa się z samych radości. Zanim artysta cyrkowy znajdzie się u szczytu kariery, zanim uzyska nazwę „star", nim wybije się z szarego tłumu prowincjonalnych kuglarzy, przejść musi twardą szkołę życia, pełną wyrzeczeń i upokorzeń.

Cyrkowcy dzielą się na dwie zasadnicze grupy: do jednej artyści ze stałym engagement, stale zatrudnieni w tym samym cyrku, do drugiej artyści kontraktowi, przeważnie słynne gwiazdy, zaangażowani na sezon, lub czasem na kilka występów za wysokie honoraria.

Oprócz tego podziału na grupy da się wyróżnić w życiu cyrkowców dwa okresy pracy: okres cyrku objazdowego w miesiącach wiosennych i letnich oraz tzw. sezon, trwający od jesieni do wiosny. W tym okresie, ludzie, którzy przez całe lato żyli pod jednym dachem cyrkowego wozu, rozbiegają się na okres sezonu, po wszystkich większych miastach Europy, aby znów wiosną objeżdżać wspólnie prowincjonalne miasta i miasteczka.



Często ktoś z nich odchodząc na zimę, nie wraca już nigdy na objazd, nie wraca... bo przerwała się podczas występu nadwątlona linka przyrządu gimnastycznego, a z nim razem nić ludzkiego istnienia. Są prócz tych i inne przyczyny: sława, powodzenie. Kariery cyrkowców bywają wspaniałe i błyskotliwe i nie zawsze kończą się na engagement w jakimś cyrku o światowej sławie. Częstokroć młodą tancerkę ekwilibrystyczną, czy piękną woltyżerkę pochłania scena, lub film.

O tym wszystkim publiczność cyrkowa, zapełniająca szczelnie widownię, nie myśli jednak. Co wieczór pod dachem namiotu cyrkowego stykają się na przeciąg paru godzin ludzie areny i ci z widowni.

Stykają się dwa odrębne światy, świat barwny, nęcący swą tajemniczą obcością, zmienny, jak kalejdoskop świat cyrkowy i beznamiętny, spokojny, unormowany, świat mieszczuchów. Jedni dla drugich są nieodgadnioną zagadką, a życie jednych z nich, być może, jest dla drugich nieosiągalnym marzeniem.



# ZESPÓŁ ORKIESTRY SYMFONICZNEJ

Gdy siedząc przy głośniku radiowym, zasłuchamy się w czarowne brzmienie IX Symfonii Beethovena, zapominamy częstokroć, że jej, doprowadzony do jedności, stanowiący zamkniętą całość dźwięk — jest w istocie konglomeratem szeregu tonów, wydobytych z różnych instrumentów.

— Ten dochodzący do naszego ucha ton — jest rezultatem kooperacji i harmonii, jaką osiąga ludzkość w dziedzinie muzyki. Jest wynikiem zespolenia, o jakie w innych dziedzinach tak trudno, a które tutaj prowadzi nie tylko do potęgi, ale także i piękna.

— Koncertować wspólnie, to znaczy słuchać, rozumieć intencję innego człowieka, wzajemnie za sobą podążać i wzajemnie się wspierać. Dobra orkiestra jest wspaniałym przykładem tego, co da się osiągnąć przez zbiorowy wysiłek. Odnosi się to nie tylko do orkiestry symfonicznej, ale też i filharmonicznej, w której zresztą wielką rolę odgrywa dyrygent, co jednak bynajmniej nie przeszkadza, że orkiestra spełnia w pierwszym rzędzie pracę zbiorową, osiągającą pełnię przy udziale wszystkich członków zespołu.

Kooperacja ta jest motorem zarówno zespołu bezrobotnych muzyków, „koncertujących" na rogach ulic, jak i „wyfraczonych" orkiestrantów w dancingu, czy kawiarni.

Odłóżmy teraz na bok momenty zbiorowe i zajmijmy się analizą zespołu — przejdźmy do poszczególnych instrumentów. Przedtem jednak, nim zajmiemy się ich podziałem, chcielibyśmy postawić pytanie: co należy rozumieć pod pojęciem instrument?

Będziecie może łaskawi czytelnicy zdania, że jest to pytanie naiwne, albo przyjdziecie do wniosku, że chcemy Was obciążać technicznymi wiadomościami. Idzie nam jednak o najprostszą odpowiedź. Całkiem więc słuszną będzie taka, że instrumentem muzycznym jest przedmiot, z którego można wydobyć dźwięk pod wpływem ruchu ręki, lub oddechu (dmuchania).

— I tutaj nasuwa się natychmiast drugie pytanie, a mianowicie: jakie cechy wspólne posiada instrument z narzędziem stolarskim, np. młotem. To samo pytanie jest aktualne, jeśli porównamy instrument muzyczny z łyżką, czy widelcem. Odpowiedź jest prosta: zarówno instrument muzyczny, np. smyczek, jak i młot stanowią wydłużenie naszych rąk. Flet natomiast jest wydłużeniem ust. Należy więc stwierdzić, że instrumenty są jedynie środkami pomocniczymi, które po prostu stanowią przedłużenie części ciała ludzkiego.

Trzeba wspomnieć także o materiale, z jakiego wykonano instrument. Wpływa to bowiem zarówno na barwę, jak i siłę jego dźwięku. Najważniejszym jednak jest samo jego wykonanie. Najdrobniejsze bowiem i niedostrzegalne wprost błędy wykonania powodują, że dwa, z tego samego materiału wykonane instrumenty posiadają zupełnie inny dźwięk i różną wartość muzyczną.

Co do samego dźwięku, wydobytego z instrumentu, to wiemy, że powstaje on na skutek drgania (wibracji) powietrza. Wibracja ta powoduje odpowiednie drgania naszych organów słuchowych, samo zaś uświadomienie sobie dźwięku czy muzyki, jest zjawiskiem psychologicznym, powstającym w naszym mózgu.

— Zadaniem więc instrumentu muzycznego jest wywoływanie wibracji powietrza. Wszystkie instrumenty muzyczne powinny wywoływać drgania powietrza. Jeśli to zdanie odwrócić, t...



każdy przedmiot, który powoduje drgania powietrza, jest pewnego rodzaju instrumentem muzycznym. I do tego wniosku dojść musimy, studiując muzykę narodów prymitywnych. Wystarczy tu wspomnieć o instrumentach tak



prymitywnych, jak pokrywki, lub o modnym dzisiaj „tap-dance“, gdzie podeszwami butów wybija się na drewnianej podłodze rytmiczny stuk. „Instrumentów“ takich znalazłoby się znacznie więcej. Z punktu widzenia muzykologii, pokrywki, czy podeszwy wliczałoby się do rodziny instrumentów wybijających takt, a w orkiestrze współpracowałyby one obok bębnów, trąb, triangułów, czy kotłów, których zadaniem jest podkreślanie muzyki instrumentów smyczkowych i dętych. Natomiast bardzo niewielka jest liczba utworów w dzisiejszej muzyce, w których by instrumenty, wybijające takt, odgrywały samodzielną rolę. W porządku chronologicznym stoją one jednak na pierwszym miejscu i choć w dzisiejszej tabeli instrumentacyjnej nie odgrywają większej roli, przecież u ludów prymitywnych były jedynymi instrumentami i punktem wyjściowym dla naszej orkiestry.

Obecnie instrumenty smyczkowe i dęte tworzą właściwą muzykę. Te dwie grupy są traktowane w teoretycznych rozważaniach równorzędnie, w praktyce jednak muzyka instrumentów smyczkowych znajduje więcej zwolenników i wyznawców. Wybitną rolę grają na tym polu zagadnienia historyczno-kulturalne.

— Przejdźmy teraz do zasad działania instrumentów w tych dwu grupach. Zacznijmy od instrumentów dętych, których zasadą działania jest wibracja powietrza w tubie. W niektórych z nich, jak przy flecie — tuba jest prosta, w innych posiada jeden lub kilka skrętów np. róg, czy saksofon. Wysokość tonu tych instrumentów zależy od długości słupa wibrującego powietrza (od częstotliwości jego drgań). Panuje tu zasada: im krótszy słup powietrza, czyli im większa częstotliwość drgań — tym wyższy otrzymamy ton i odwrotnie. Od tych więc czynników zależy wysokość tonu; jego barwa natomiast uzależniona jest od materiału,



z którego został wykonany instrument (drzewo, metal).

Z drzewa wyrabia się instrumenty, które na skutek swego miękkiego tonu mają zastosowanie w muzyce kameralnej — są to: flety, oboje, klarnet, fagoty itd.

Dla orkiestry lepiej nadają się instrumenty metalowe o silnym głosie, jak: trąba, puzon, róg, tuba. Na naszej rycinie widzimy 3 puzony, noszące też nazwę trąb krążkowych.

Przejdźmy teraz do instrumentów smyczkowych, w których dźwięk powstaje na skutek drgania struny, powodującej w konsekwencji wibrację powietrza. Te drgania dałoby się także wywołać, trącając struny ręką. O wiele jednak lepiej osiąga się to przy pomocy smyczka, który mając większą długość i wytrzymałość — daje możność osiągnięcia czystego i równego tonu.

Poza tym samodzielny zakres działania instrumentów smyczkowych jest większy, niż instrumentów dętych. Klasyfikując instrumenty smyczkowe podług wielkości i barwy dźwięku — rozróżniamy: skrzypce, altówkę, wiolonczelę i kontrabas. Ma i tutaj zastosowanie zasada: im większy instrument, im dłuższe struny, tym niższy ton. Należy też zaznaczyć, że między tymi 4-ma rodzajami instrumentów istnieją dużo mniejsze różnice, niż w instrumentach dętych. Dzięki temu zespół smyczkowy łatwiej uzyskuje pełną harmonię. Toteż prawdziwą satysfakcją dla dyrygenta jest kierowanie zespołem, składającym się jedynie z instrumentów smyczkowych.

Na zakończenie zaznaczyć należy, że w ostatnich latach uległy instrumenty tej grupy znacznym przeobrażeniom, tak że np. instrumenty orkiestry sprzed 150 lat posiadają już tylko wartość muzealną. Nasza rycina przedstawia kilka wiolonczeli z tego okresu.



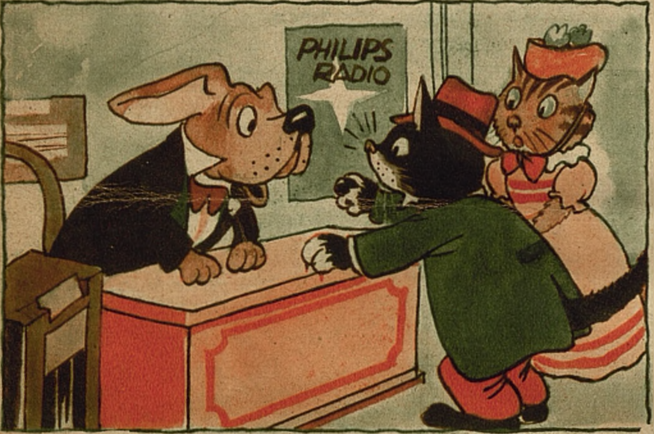
# Dobra rada SZCZEKALSKIEGO



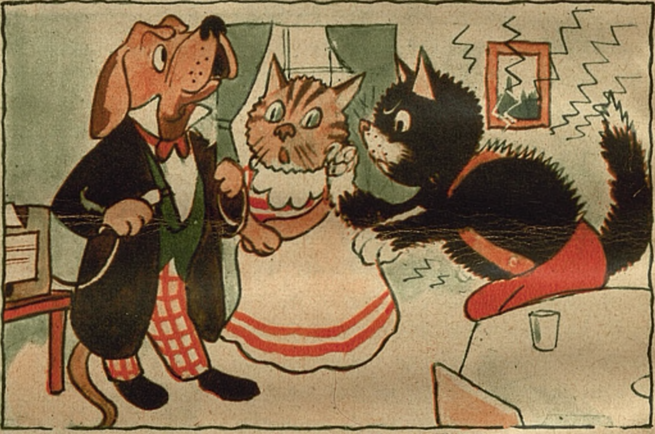
Państwo Miau — Miauczalscy autem tutaj przybyli
i stanęli pod bramą wynajętej willi.
Dzieci koniec podróży witają okrzykiem —
Papa się opiekuje radioodbiornikiem.
Wszyscy razem walizy dźwigają wspaniale:
bo koci ród przyjechał tu na lato całe.



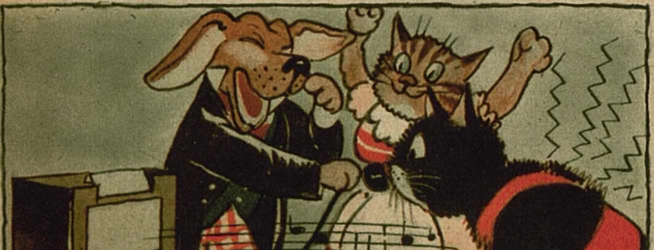
Wchodzą — i zaczynają oglądać mieszkanie.
Papa szuka czym prędzej kontaktu na ścianie —
chciałby radio załączyć — nagle... krzyk żałości:
Czy wiecie, że w tej willi brak elektryczności?!?!
To okropne, i Mama miauczy rozgniewana:
Tyś bez elektryczności wynajął mieszkanie?!




Rodzina bez radia nie chce zostać ni chwili
więc do Szczekalskiego pójść postanowili.
Szczekalski — przedstawiciel radiowy Philipsa —
najpierw milcząc wysłuchał, potem się zamyślił;
a że zawsze na podróż jest przygotowany,
więc za parę chwil byli w Miauczalskich mieszkaniu.



Szczekalski obrzucił okiem całą sytuację —
Tak — niestety Miauczalski drogi — miał pan rację,
aparat grać nie będzie — są tutaj trudności
nie do przezwyciężenia: brak elektryczności.
Papa zdjął kabat — miauknął: po cośmy tu przyszli...
zjeżył się cały... z futra sypnęły się iskry.



Hurra! — Zawołał nagle przedstawiciel radia.
Zrobię coś, co może nie bardzo wypada...
bo żeby, ojciec rodu kontakt nosił w nosie...
ale chcecie, by radio grało? — No to proszę.
I nagle, ku radości domostwa całego
rozległy się wkrąg dźwięki „walca wiedeńskiego".



I odtąd — gdy Miauczalski grzbiet szczotką wyczesze —
i radio Philips zagra wszystkim ku uciesze,
wtedy cały ród koci chwali Szczekalskiego —
największego wśród „speców" — „speca" radiowego.

J. K.

Redaktor: IZABELLA GACKA

Wydawca: POLSKIE ZAKŁADY PHILIPS S. A.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Karolkowa 32/44.

Druk rotogr. DOM PRASY Warszawa, Marszałkowska 3/5/7.